

Warszawa, dnia 29 Sierpnia / 10 Września 1870 roku.

№ 36. Cena w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop. 33¾). **Redakcja** w Warszawie przy ulicy Solnéj pod Nr. 715.—**Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka, ulica Senatorska Nr. 496, i tamże urządzona jest skrzynka na listy adresowane do Redakcji. *W Poznaniu* u **Leitgebera**, we *Lwowie* u **Wilda Karola**, w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza. Rok VI.

TREŚĆ: Wojna, przez Wołodego *Skibę*. — Skarby, wiersz *Al. K.* — Ludwika Herminia de Staël, przez Antoninę *Machczyńską* (z drzeworytem). — Rysunki ś. p. Artura Grotgera (z dwoma drzeworytami), przez Aleksandra *Osipowicza* (dokończenie).— O wpływie nosa ludzkiego na sprawy świata, przez Aleksandra *Osipowicza*.— **Humoreska**: Postęp mody (z ryciną).— **Wiadomosci techniczne**. — Rozmaitości. — W **Czytelni Domowéj**: Dzika dusza nowella, przez Aleksandra *Osipowicza*.

WOJNA.

Wszystkie umysły obecnie zajęte są krwawym zatargiem między dwoma potężnemi europejskiemi państwami, z których jedno jest nam sąsiednie; każdy z niecierpliwą ciekawością chwyta wiadomości z pola bitew, w których rozstrzygają się może losy zamieszkałéj, przez nas części świata. W takiéj chwili i Opiekun Domowy, chociaż nie będący pismem politycznem i nie mający zamiaru podawania w swych szpaltach bieżącéj kroniki świata, aby pozostać wiernym swemu charakterowi pisma poświęconego kwestjom, któremi głównie się zajmuje współczesna epoka i popularyzowaniu bieżących postępów wiedzy, nie może pominąć przedmiotu, który tak przeważnie, a nawet tak wyłącznie, zajmuje wszystkie umysły.



Ludwika Herminia de Staël. — (Strona 398-a).

Zastanowimy się więc nad wojną, nie z téj znanéj powszechnie, strony klęsk, jakie jéj towarzyszą, ani ze strony naukowéj, strategicznéj, ale ze strony zapewne dla czytelników naszych najciekawszéj, a mianowicie ze względu na wpływ wzajemny wojen na postęp i cywilizację — i cywilizacji, oraz postępu na wojny.

Wpływ bezpośredni wszelkiéj wojny na cywilizację i postęp jest zgubny, tego nawet dowodzić niepotrzeba. Powstrzymując bieg i niszcząc owoce prac pokojowych, wojna przyczynia się do zubożenia na czas pewien krajów, które w niéj biorą udział, a szczególniéj kraju, który jest jéj widownią. Rozumie się, że mówimy tu o wojnach tegoczesnych pomiędzy państwami cywilizowanemi. W starożytności, wojny, których celem były łupy, zdobycze, uprowadzenie ludności z krajów cudzych i sprowadzanie jéj do własnego, mogły się do pewnego stopnia opłacać. Nasze wojny bezpośrednio przynoszą tylko nieobliczone klęski i straty; a korzyści, jakie te klęski i straty zrównoważyć mogą, są tylko pośrednie, nie wynikają one bowiem z nich samych, lecz z pokoju, jakim się zamykają, z trwałości, jaką ten pokój mieć może, z korzystnych dla ludzkości postanowień, jakie w sobie zawiera. Ponieważ, jak tego ludziom mającym pojęcie o zasadach ekonomji politycznéj dowodzić nie potrzeba, głównym warunkiem wszelkiéj cywilizacji i wszelkiego postępu jest bogactwo, wojna więc, jako niszcząca na wielką skalę ten główny warunek, jest z konieczności ogromną klęską dla cywilizacji i postępu. Pokój sam przez się,

to jest jako ustanie klęski, już jest dobrodziejstwem, a większem jest jeszcze jeżeli zawartym jest w tych warunkach, które rozwojowi dobrobytu narodów i bogactwa publicznego, nowe otwierają drogi.

Z tego wynika, że niekiedy nawet dla cywilizacji i postępu, wojna być może pożądaną. Bywa to w takim razie, jeżeli inaczéj jak przez wojnę znieść nie można pewnych przeszkód do cywilizacyjnego rozwoju. Tak np. jeśli nie można inaczéj jak orężem zmusić barbarzyńskiego ludu do zawarcia stosunków z cywilizowanym światem i wejścia na drogę postępu, wojna, byleby tylko nie była bezskuteczną, jest pożyteczna. W innym przypadku, jeżeli jakie państwo potężne, ciągłą swoją gotowością do boju i zaborczemi dążeniami zmusza inne państwa, aby zapominając o pokojowych pracach, miały się na ciągłéj baczności przeciw możebnéj zaczepce, i rujnowały się na tak zwany pokój zbrojny, wojna tych państw w celu rozbrojenia tamtego i usunięcia ciągłego niebezpieczeństwa dla cywilizacyjnego rozwoju, z jakiemikolwiek połączoną byłaby klęskami i jakiekolwiek bezpośrednio przynosiłaby szkody, pośrednio jest pożyteczną, gdyż postęp cywilizacyjny, który powstrzymuje chwilowo, zabezpiecza i utrwala na przyszłość, rozumie się, jeśli skutek zamierzony osiągnie.

Tyle w ogólności powiedzieć można o wpływie wojen na cywilizację. Pośrednio świat się cywilizuje i przez te zwarcia się siły z siłą, w których nie sprawiedliwość ale przewaga massy rozstrzyga, przez te pojedynki państw i narodów, właściwe chyba dzikim i ciemnym społeczeństwom, nie jest to jednak zasługą wojen, ale zasługą cywilizacji rozumnnéj, wszystko na swą korzyść obracającéj, umiejącéj gdzie potrzeba konieczna użyć rozsądnie nawet takiéj broni, którą w zasadzie potępia. Mimo to jednak niepodobna zaprzeczyć, że choć się świat cywilizuje i przez wojnę, nieskończenie więcéj i trwaléj cywilizuje się przez pokój.

Przypatrzmy się teraz odwrotnemu wpływowi, wpływowi cywilizacji na wojnę, czyli, że się tak wyrazimy, cywilizowaniu się wojny.

Że wojny dzisiéjsze nie są ani tak częste, ani takich klęsk za sobą nie pociągają jak w starożytności lub w wiekach średnich, to wszyscy wiedzą, niekażdy jednak się zastanowił zkąd to pochodzi, a nawet zastanawiają się nad tem co świat wojskowy nazywa postępem w swojéj sztuce, niekażdy odrazu zrozumie jakim sposobem wojny dzisiejsze pod względem klęsk jakie pociągają za sobą nie dorównywają dawniejszym. (*Dalszy ciąg nastąpi*).

SKARBY.

Jestem wolny jako ptaszę,
W piersi czuję tchnienie leksze,
Gdy wybiegam na poddasze,
By po wonnym bujać wietrze.
Wszędzie sercem, łzą witany,
Wzrok mój ludzi się nie lęka,
Skarbiec mój jest wszystkim znany,
Bo tym skarbcem jest piosenka.

Biegną inni gdzieś za morza,
I blask złota ich zachwyca,
Mojem złotem, jasna zorza,
Mojem srebrem, blask księżyca...
Każdy mi chwil szczęścia życzy,
Dobre słowa ma podzięka,
Ze wszystkich cennych mych zdobyczy,
Mą najdroższą jest piosenka.

Rzewnych pieśni zdrój obfity
Wylewałem w pośród drogi,
Wolę gór skalistych szczyty
Niż pałaców dumnych progi.
Czasem kwiatkom nucę pieśni
Gdy na niebie lśni jutrzenka,
Bracia wtórzą mi rówieśni
Bo mym skarbem jest piosenka!...

Luba moja! Tyś mą duszą,
Ty rozjaśniasz serca ciemnie,
Czyż me pieśni cię nie wzruszą?
Ty błyskotek chcesz odemnie—
Méj wolności nie dam za nic,
Więc chłód serca mnie nie nęka,
Wielbię skarbiec mój bez granic,
Bo tym skarbcem jest piosenka.

Al. K.

LUDWIKA HERMINIA de STAËL.

Mamy przed sobą życie i dzieła pisarza-kobiety, która u rozdzroża dwóch rozchodzących się z sobą w piśmiennictwie francuzkiem epok, dzierżyła pochodnię przejścia i śród reakcji pierwszego cesarstwa, przywracającéj moralność i życie duchowe, kosztem już wybujałéj w swawolę wolności, potrafiła złączyć razem dwie święte sprawy, rozsiewając na samymże gruncie filozofji, światłość prawd wiekuistych.

Chcemy tu mówić o Ludwice Herminii Necker córce ministra-filozofa, zaślubionéj baronowi de Staël, urodzonéj 1766 roku, zmarłéj 1817 roku.

Jako kobieta i jako pisarz pani Staël obudza żywy interes: Wzrosła śród najpierwszego towarzystwa stolicy Francji, śród ostatnich uniesień gasnącéj rewolucji, otoczona ostatnimi reprezentantami ośmnastego wieku, jak: Buffon, Marmontel, Sédaine, Raynal, Thomas... młoda dziewica zjednoczyła w duszy swojéj żywioły pośród których żyła, by niemi i tak już bogaty swój umysł, jeszcze bogatszym uczynić.

Wrażliwa jéj dusza, umysł przystępny dla każdéj myśli gruntownéj, serce otwarte dla wszelkich podniosłych wzruszeń, nie mogły ją postawić niemym widzem wypadków i wyobrażeń; wrodzony genjusz i wysokie zdolności naukowe, wskazały jéj dalszą drogę, cel i środki. Zdobna wszystkimi talentami, miłująca wolność, przepych sztuk i salonów, była ona ciekawem zjawiskiem dla tych, co się chcą zastanawiać nad miarą i naturą niewieścich zdolności, zjawiskiem wykazującem, że jéj genjusz nie był czem innem, tylko nią samą, jéj życiem wewnętrznem, wylewającem się na zewnątrz w naturalnych swoich objawach.

Ztąd to ta przedziwna harmonja wszystkich własności jéj duszy. Jéj rozmowa według jéj własnego, tak prawdziwie francuzkiego określenia, że rozum powinien umieć rozmawiać, była równie powabną jak jéj pisma, a wewnętrzny stan jéj czucia i myślenia był ogniskiem, z którego tryskały promienie jéj pisarskiego talentu. Wierna swojéj naturze niewieściéj, nie mogła być czem innem w życiu jak

w piśmie; to też obok wysokich poglądów politycznych i filozoficznych, w jakich z zadziwiającą łatwością przebiegała całą skalę ówczesnych pojęć; obok jaskrawych połysków wyobraźni i artyzmu, widzimy nieraz w jéj książkach łzy i tak wzruszające odcienia głosu, w których głęboko malują się naprzemian namiętności wieku i boleść własna.

W dziedzinę prac swoich przenosiła ona wszędzie wysokość skali moralnéj i umysłowéj, do jakiéj wznieść się zdołała, a jeżeli w Delfinie ukazuje nam się na chwilę jak gdyby zmalałą i słabszą, niż była w istocie, to w Korynnie odnajdujemy ją znowu uidealizowaną i powtarzamy chętnie, co Sainte Beuve o niéj powiedział: że Kapitol Korynny jest zarazem Kapitolem pani de Staël.

Pomimo tak słusznie zdobytéj sławy, serce jéj niewieście dyszy tęsknotą i smutkiem, a łzy płyną z pod laurowego wieńca; pani Staël nie znalazłszy szczęścia w źle dobranem małżeństwie, mówi z heroiczną rezygnacją:

— Nie wolno upaść pod ciężarem własnéj niedoli! A jeżeli los skazuje na szukanie chwały tych, coby na serdecznych poprzestali uczuciach, toć już chwały téj trzeba się usilnie dobijać.

Zdolność i praca dały jéj też całą pełnię téj chwały, i dźwigała ją przez całe życie „jako świetną żałobę po minionem szczęściu."

Pomimo tych odcieni bólu i tęsknoty talent jéj posiadał całą energję, całą potęgę i trzeźwość, w rzeczach poważnéj krytyki i ścisłego myślenia, a bystrość pojęcia, miłość prawdy i piękna stawiały ją od razu na punkcie widzenia, sprzyjającym sprawiedliwemu ocenieniu ludzi i wyobrażeń.

Niosąc w najwyższe sfery myślenia ten odcień delikatności, uczucia i poezji, jaki tylko niewieściemu umysłowi właściwym być może, rozlała na też sfery pewien urok moralny i dobroczynny, głęboki a nadobny, podobny do tego, jaki kobieta w ogóle na życie społeczne rozlewa i z jakim zawsze, jak z łagodnem światłem w ręku, wstępować może na te wyżyny nauki i pracy, na które jéj zdolność i wytrwałość doprowadzić ją mogą.

Połączenie dobra i piękna widnieje z wszystkich pism pani de Staël: „pisać piękną odę, mówi ona na jednem miejscu, jest to samo, co marzyć o bohaterstwie."

A na innem znowu powiada: „gdyby kto ośmielił się dawać rady geniuszowi, nie należałoby mu ograniczać się na samych czysto literackich radach; do poetów powinnibyśmy przemawiać jak do obywateli, jak do bohaterów. Trzebaby im naprzykład powiedzieć: „bądźcie cnotliwymi, kochajcie wiarę i wolność, umiejcie uczcić to, co kochacie. Umiejcie znaleźć nieśmiertelność w miłości, boskość w naturze; niech wasza dusza będzie uświęconą jak przybytek pański, a anioł wzniosłych wyobrażeń nie omieszka w niéj się objawić."

Chateaubriand, będący podobnie jak pani Staël kierownikiem odrodzenia duchowego w literaturze francuzkiéj za cesarstwa, w pięknych, bo pełnych bezstronności słowach opłakuje przedwczesny zgon autorki, z którą sam jeden tylko mógł rywalizować. Zanim jednakże odczytamy ten grobowy napis, rzućmy pierwéj okiem na pisma pani Staël, oraz na stan społeczeństwa i literatury, śród których one powstały.

Była to epoka pierwszego cesarstwa; skończyła się dawno walka dwóch olbrzymich rewolucji, z których jednę w dziedzinie myśli prowadził Rousseau, Montesquieu, Buffon, Diderot wraz z całą falangą encyklopedystów, a drugą na polu politycznem wiódł cały naród francuzki.

Posiew wolności, rzucony przez pisarzy ośmnastego wieku, wydał już krwawe plony nadużyć i świętą zdobycz dla praw i swobód cywilizacyjnych człowieka. Już zamilkli encyklopedyści i filozofowie, ucichła nawet poetyczna nuta Andrzeja Chenier i Bernarda de St. Pierre, owo słabe, nietyle potężne ale słodsze i prostsze echo natchnień wielkiego Rousse'a; potok wypadków i czynów zagłuszył słowa, wymowa brzmiała tylko jeszcze z trybuny jako służebnica i narzędzie ówczesnéj władzy... nareszcie i jéj rola skończyła się wraz ze zwątleniem ducha Francji i ujęciem potężnéj rzeczypospolitéj w despotyczną dłoń pierwszego cesarstwa.

Po wielkich przejściach wojennych, naród francuzki uczuł się jakby przebudzonym z letargu, zmieniła się scena, ścieśniły szranki, burzliwe życie szczodrze wylewane na zewnątrz, zaczęło się skupiać wewnętrznie, oglądać około siebie i wracać do dawnych nawyknień, błyskotek, pragnień. Tylko ból jakiś nieujęty, niby pamięć snów lepszych zawisnął na wielu czołach, a anioł ludów, wiodący je na drogi lepsze, ukazywał pracę jako środek i słodkie uspokojenie cierpienia.

Była to chwila przejścia i zawiązania nowych węzłów pomiędzy tak świetną niedawno przeszłością, a nowym stanem wyczerpania duchowego. To też ten i ów zaczął się zwracać ku piśmiennictwu, a rozglądając się w obecnym stanie literatury francuzkiéj, dostrzeżono z zadziwieniem, że duch wolnéj krytyki ośmnastego wieku z zuchwałością wdzierający się wszędzie, nie dotknął tylko zimnéj i naśladowczéj formy klassycyzmu, panującéj w piśmiennictwie francuzkiem.

Była to jedyna potęga uchodząca przed zamachami Voltaira i jego naśladowców. To też, jak przed Boilem i Racinem tak i po Voltairze i Fontenellu spotykamy też samą napuszoność formy w tragedji, w odzie, w poezji opisowéj. Zdawało się, że duch odrodzenia nie powiał nigdy na karty, jakie oni zapisali wierszem: Delille o ogrodach, Anni Martin o fizyce, Esménard o żegludze, Castel o roślinach. A chociaż komedja opierała się temu sztywnemu naśladowaniu klassycyzmu, chociaż Ducis zachwala Francuzom Shekspeara, Sédaine znajduje chwile prawdziwego natchnienia, to jednak w pierwszych chwilach téj nowéj epoki, rewolucja widna na wielu szczeblach rozwoju Francji, dla formy literackiéj była jakby straconą.

Stary klassycyzm krępuje poloty wyobraźni, a ogólne usposobienie umysłów, znękanych zawodami i walką, pełne smętnéj poezji tęsknoty i cierpienia, czuje się źle w tych sztywnych wiązaniach i pragnie znaleźć dla siebie wyraz odpowiedni w wzniosłym zwrocie ku wierze, pogodzonéj ze zdobyczami cywilizacji i wolności.

Pani de Staël jako też młody bretończyk Chateaubriand i głęboko filozoficzny Royer Collard, byli przeznaczonymi do znalezienia tego odpowiedniego wyrazu, do nadania literaturze francuzkiéj tego pożądanego kierunku, który miał się stać hasłem wyższych dążeń dziewiętnastego wieku.

Pani Staël odrazu stanęła na właściwym punkcie oczekiwań nowéj epoki i nowych potrzeb społeczeństwa. Uczennica Rousse'a, którego głośno mistrzem swoim uznaje, nie zapomniała rewolucji: ona jest dla niéj punktem wyjścia, punktem jasnym, bo już oczyszczonym, bo z niego przyjmuje tylko to, co dobroczynne i wielkie i w tkliwéj duszy swojéj łączy to cenne dziedzictwo rozumu z gorącem uczuciem wiary i poezji.

Pierwsza jéj książka o „wpływie namiętności na szczęście pojedynczych ludzi i narodów“ była zarazem zamknięciem pierwszego perjodu jéj życia, w którym młoda kobieta unosi się wyłącznie uczuciem i bada namiętności nie ze względu na obowiązki, lecz ze względu na szczęście.

Romans „Delfina“ i dzieło „O stosunku literatury do instytucyj społecznych“ ukazały się prawie jednocześnie; ostatnie z nich stawiają obok „ducha chrześcijanizmu“ Chateaubriand'a jako „ducha ludzkości,“ łączącego w sobie polot wiary i wielkości przekonania.

Delfina romans w listach, więcéj się zaleca doborem myśli niż artystycznem ułożeniem, mimo nawet zajmującego portretowania niektórych współczesnych osób. I tak: w Delfinie widziano samą autorkę, a w szlachetnym protestancie Lebensi zacnego jéj przyjaciela Benjamina Constant. Pani Cerlèbe, owa zacna niewiasta oddana dzieciom i obowiązkom, wyobraża dobrze znakomitą panią Necker de Saussure, a egoistyczna i zimna pani de Varnon przypomina wiernie Talleyranda.

Wygnanie, na jakie Napoleon skazał panią Staël, oddało znakomitą przysługę jéj talentowi: podróże po Włoszech objawiły jéj sztukę i naturę, których świetne odbicie znajdujemy w Korynnie. Pobyt wydał w Niemczech równie odmienne owoce, jak odmienną była ziemia, gdzie je zbierała; dzieło pani Staël tamże ułożone, jest dziełem filozoficznem, wonięjącem zapałem i poezją. Odważna autorka skruszyła przesąd Francuzów o Niemcach, o których nawet Voltaire więcéj nie umiał powiedzieć, jak, że im życzy więcéj dowcipu, a mniéj spółgłosek i pierwsza dała poznać współziomkom swoim ojczyznę Szyllera i Goettego, Hegla i Kanta.

Drogą raz otwartą poszli i inni, ale dziś jeszcze uczony krytyk germański, Mejer przyznaje, że większa część dzieł napisanych we Francji o Niemczech, nie dosięgła tego pierwszego szkicu, ręką wygnanki nakreślonego.

Przebiegając koleją wszystkie prace pani Staël, widzimy w nich stopniowe rozwijanie się talentu i stopniowy wzrost ducha, a chociaż ona na drodze swojéj literackiéj nie poszła śladem ani sentymentalnego romansu jak pani Genlis, ani suchego moralizowania jak pani de Maintenon, nie mniéj od nich przecież kochała ludzkość i szukała prawd życia wyżéj nad troski powszednie położonych. Pośród rozstroju wyobrażeń i katastrof społeczeńskich autorka Korynny potrafiła odnaleźć strunę harmonji, pośredniczącą między nadużyciem wolności i ciemnotą przesądu, błyszczącą promieniami nieba i ziemi i ztąd jéj największa zasługa; a ciągłe jéj dążenie do światła, do prawd, co raz jaśniejszych, każe mniemać, że przeczuła i użyła za hasło swoje słowa, jakie umierający Goethe wyrzekł:

— Wpuśćcie więcéj światła! (Mehr Licht herein komme!)

Antonina Machczyńska.



Biada! biada .....
(Rysunek Artura Grotgera).

RYSUNKI
Ś. p. Artura Grotgera.

(Dokończenie, patrz Nr. 35-y).

10. W izbie widzimy połamane sprzęty z pomordowanymi ludźmi leżące na podłodze. Dwoje dzieci przypatruje się ciekawie zabitéj kobiecie opartéj jeszcze martwą głową o ścianę, może swéj matce. Dwóch mężczyzn leży nieruchomo w objęciach, ten co na wierzchu, w prawicy trzyma pistolet, a ten co pod nim leży, lewicą swą rękę tę hamuje. Lewica zaś pierwszego szarpie jeszcze piersi drugiego.... napastnik i napastowany razem na wieki usnęli i spoczywają w pokoju.

Przez drzwi uchylone, widać wracającego z boju wojaka pod strzechę rodzinną. Jeszcze krok, gdy próg przestąpi,

zamiast radośnych powitań i objęć serdecznych, spotka go milczenie śmierci.

Czemuż wrócił nieszczęsny! czemuż lepiéj nie zginął?

Ale niech wejdzie, czekają go małe sieroty....

Artysta tę scenę rozważa, a genjusz sztuki tłomaczy mu ją wskazując ręką ku niebu, które rzeź ludzi prędzéj czy później ukarze.

— Biada! biada.... są to słowa które zdają się płynąć z ust genjusza.

11. Na ostatnim obrazku artysta jest sam tylko— wszystko co mu genjusz sztuki w scenach wojny objawił i pojąć dozwolił, streszcza w jednym obrazie.

Na tym obrazie widzimy Stwórcę Pana, groźnie podnoszącego dłoń wszechmocną.

u spodu napis:

o Ludzkości! Kaimowy rodzie!

Aleksander Osipowicz.

ZEMSTA KOBIETY,

OBRAZEK

Z PRAWDZIWEGO WYDARZENIA

przez

Korneliję Drzewiecką.

(Dokończenie, patrz Nr. 34-ty).

VI.

Trzy lata upłynęło od chwili zerwania zamierzonego małżeństwa pomiędzy Juljuszem i Zofją. Życie nieporządne i marnotrawne, zupełnie zrujnowało majątek Kalinowskiego. Wąsoszyn roił się nieustannie mnóstwem brodatych nieprzyjaciół spokoju szlachcica. Jednego pięknego poranku młody rozrzutnik usiadł do stolika, aby zrobić dokładny billans swojego mienia. Rezultat był okropny! Juljusz przekonał się, że nie ma innego ratunku, jak spieniężyć co można z inwentarzy i ruchomości i opuścić kraj na zawsze. Uczynił też to niebawem, zostawiając Wąsoszyn na łup swoich wierzycieli. Ale i osiągnięte ztąd zasoby pieniężne, potrochu wyczerpały się. Długo podróżował Juljusz, na koniec przybył do Bruxelli bez grosza. Wiedząc, że w tem mieście mieszka sędziwy pan S. jego daleki krewny. Udał się do niego, prosząc o pomoc. Pan S. wysłuchał cierpliwie skarg i narzekania młodzieńca, ale, czy nie był w stanie mu dopomódz, czy też chciał, aby go potrzeba zmusiła do pracy, postanowił sobie wtenczas dopiero wesprzéć usiłowania kuzyna, gdy zobaczy ich pożyteczny kierunek; dość, że pieniężnéj pomocy Juljusz nie otrzymał. Zrozpaczony powrócił do hotelu w którym był stanął, a dobywszy z podróżnéj walizki rewolwer, ostatni przedmiot jego własnością będący, który miał jeszcze jakąś wartość, postanowił użyć go, do zakończenia swych cierpień. Ale nie dziwmy się, że się trochę za długo namyślał. Żal mu było przeciąć pasmo młodego jeszcze życia.

Nagle zastukano do jego drzwi. Otworzył i ujrzał wchodzącego lokaja pana S. a przybywającego z zaproszeniem swojego pana, dla załatwienia ważnego bardzo dlań interesu. Juljusz pobiegł zaciekawiony.

— A witajże mój drogi! zawołał starzec z uśmiechem; kazałem cię poprosić, bo mi tu przyniesiono z poczty paczkę jakąś, przesłaną do ciebie pod moim adresem.

— Z kraju?—zapytał gorączkowo Juljusz.

— Tak—była krótka odpowiedź.

— Z kraju? to chyba pomyłka, któżby tam przypomniał sobie o mnie. Miałem wielu towarzyszy mego nieoględnego życia, ale nie miałem przyjaciela. Matka, jedna tylko matka, mogłaby przyjąć w swoje objęcia marnotrawnego syna, ale ona już dawno spoczęła pod złoconym marmurem, na cmentarzu w Wąsoszynie!

Monolog młodzieńca przerwał pan S. dobywając z biurka opieczętowaną paczkę, którą wręczył Kalinowskiemu. Julek rozerwał gwałtownie paczkę. Na posadzkę upadło pięć listów zastawnych litera *B*, a obok nich welinowa karteczka. Juljusz stał osłupiały.

— A zbierzże przecie te papiery, a najprzód jeszcze przeczytaj list, aby się dowiedzieć od kogo one pochodzą, zawołał pan S. Młody człowiek machinalnie spełnił wolę sędziwego kuzyna, podniósł bilecik i przeczytał głośno co następuje:



o Ludzkości! Kaimowy rodzie.

(Rysunek Artura Grotgera).

,,Panie! Dowiedziałam się o wyjeździe pańskim; chcę wierzyć, że krok ten nie miał nieszlachetnych pobudek. Słyszałam również od krewnych moich w Krakowie, że pan zamierzyłeś udać się do Bruxelli, tam więc przesyłam mój list pod adresem pańskiego kuzyna pana S. Wierzyciele sprzedali majątek; że zaś według głosu opinji publicznéj, biorąc czwartą część wartości, byliby już sumiennie zapłaceni, nie miałam więc skrupułu, odjąć im cząstkę nieuczciwie nabytéj zdobyczy. Korzystałam z prawa wniesienia na hypotekę darowanéj mi niegdyś summy, a odebrawszy jéj połowę od nowo nabywcy Wąsoszyna, przesyłam ją Panu, jako prawemu właścicielowi. Resztę nadeślę bezwłocznie po jéj odebraniu. Zofja.“

Łzy rozrzewnienia popłynęły z oczu Juljusza. Powrócił do hotelu z pieniędzmi i długo jeszcze w nocy siedział, pisząc list do Zofji, w którym błagał ją o przebaczenie i o przyjęcie po raz drugi, jego gorących uczuć. List swój zakończył wzmianką, że w Bruxelli będzie czekał jéj odpowiedzi.

Ale Zofja nie odpisała wcale.

Długo czekał Juljusz; odjechał wreszcie, niewiadomo gdzie, Z początku nikt o nim nie słyszał, w jakiś czas dopiero bulletyny wojenne, umieściły jego imię na liście poległych w szeregach Karola Alberta króla Piemontu, w wojnie z Austrją.

Zofja została szarytką, a August ożenił się z Marynią Miniewicz, młodszą jéj siostrą.

O WPŁYWIE NOSA LUDZKIEGO na sprawy świata.

Jeżelibyśmy układali katechizm uszczęśliwienia ludzkości, zawarlibyśmy go w następujących trzech paragrafach:

§ 1. Patrz swego nosa!
§ 2. Patrz swego nosa!!
§ 3. Patrz swego nosa!!!

I głęboko przekonani jesteśmy, że katechizm ten więcéj przyniósłby uszczęśliwienia człowieczeństwu, niż Zendawesta Zoroastra, księgi mądrości Konfucjusza, a mianowicie Koran Mahometa, który lubo zaleca swym wyznawcom: bądźcie miłosiernymi! dodaje jednakże żeby niewiernych ogniem i mieczem (zapewne w dowód miłosierdzia) tępić: co właśnie dowodzi, że Mahomet i sam lubił i nakazywał swym prozelitom, patrzeć cudzych nosów.

Nic łatwiejszego jak udowodnić, że maksyma: patrz swego nosa, jest istną skarbnicą szczęśliwości świata. Bo wyobraźmy sobie, iż ludzkość zaczęła rządzić się tą maksymą i dąży pod jéj wpływem ku celom swoim. Każdy będąc zajętym swym własnym nosem, ani zawadza, ani drażni, ani irytuje, ani przeszkadza, ani krzywdy żadnéj nie przyczynia swemu sąsiadowi, również patrzącemu swego nosa, a zatem również znośnemu i miłemu jak każdy inny. Wśród ludzkości pilnującéj swego nosa, nie potrzebne byłyby sądy, bo niebyłoby żadnych spraw; niepotrzebna byłaby policja, bo nie byłoby żadnych zatargów; niepotrzebne byłoby wojsko, bo żadnych walk nie staczanoby wtedy, bo nie byłoby o co, nie potrzeba byłoby ani granic, ani komor, ani ceł, ani celników, bo nie byłoby ani kontrabandy, ani przemytników... i t. d. i t. d. i t. d.

Bo też nos ludzki nie jest tylko organem powonienia za jaki poczytują go naturaliści, a w ogólności animusze hołdujące materjalizmowi.

Dawniéj np. zaczynano wykład grammatyki od sentencji: różnimy się ludzie od zwierząt rozumem i mową, który jest paradoksem, gdyż i zwierzęta mają swój rozum i swą mowę doskonale wystarczające dla nich, i takie którychby nie chciały pomieniać ani na nasz rozum, ani na naszą mowę, któreby im na nic się nie przydały.

Przyszły postępowy grammatyk, jeżeli postanowi rozpocząć swą grammatykę od uwydatnienia różnicy zachodzącéj pomiędzy nami a zwierzętami, wyrazi ją niezawodnie w słowach:

— Różnimy się ludzie od zwierząt nosem!

I będzie miał zupełną rację. Bo nos, we właściwem znaczeniu téj nazwy, jest wyłącznym udziałem człowieka. Czy widział bowiem kto zwierzę udarowane nosem? Bynajmniéj. Zwierzęta mają nozdrza na rozmaity sposób uformowane zewnętrznie, ale nigdy na obraz i podobieństwo ludzkiego nosa! Nozdrza te u konia, łosia, i t. p. nazywają się chrapy, u dzika gwizdem, u psa niuchem, u wieprza ryjem. A jeżeli niekiedy mówiąc o psim niuchu, na końcu którego bywają składane kawałki chleba dla nauczenia cierpliwości, przyznajemy mu miano nosa; jeżeli znowu w owéj legendzie dotyczącéj psa posiadającego sztukę udawania nieboszczyka, pozwolono sobie wyrażenia: przeleciała osa, około psiego *nosa*, bzym! bzym! bzym! zdechł pies! to nie dla tego bynajmniéj żeby psi niuch, kwalifikował się do rzędu nosów rzeczywistych, ale dla kwiecistości stylu, jako metafora.

Łacińskie zdanie twierdzi: ex naso vir! po nosie poznaje się męża.

Jeden tylko człowiek w świecie, posiada nos, we właściwem tego wyrazu znaczeniu, i nos ów starczy mu za cudowny instynkt, skrzydła, pletwy, szpony, pazury, zęby, dzioby, rogi, kopyta, i t. p. oręże zwierzęce.

Któreż to zwierzę bowiem potrafi tak jak niektórzy z ludzi, zwąchać pismo nosem?

To też możnaby udowodnić, że siedliskiem wszelkich zalet i wad, jest nos ludzki.

Człowiek porządny, nie zadziera nosa do góry.

Człowiek zepsuty łaskami fortuny, ma muchy w nosie.

Człowiek ambitny, lubi jeździć po cudzych nosach.

Możnowładny, lubi dawać ogromne nosy swym podwładnym.

Wścibski, wszędzie swój nos wetknie, chociaż mu go nieraz drzwiami przytrą.

Nieszczęśliwy, spuszcza nos na kwintę.

Najnieszczęśliwszy z ludzi, bywa przez żonkę za nos wodzony (nazywa się zaś technicznie: safanduła).

O takim który zdołał uniknąć jakiéj zasadzki, wyrażamy się: miał nos!

O takim który potrafi sobie radzić w każdym razie, mówimy: ma nos dobry; i wąchalitas niezły.

Otóż, summa summarum, nos ludzki nie tylko jest organem powonienia, siedliskiem kataru, ozdobą twarzy, cechą charakterystyczną stworzenia zwanego człowiekiem, ale jest przedewszystkiem instrumentem przymiotu ludziom tylko właściwego, a zwanego zwykle wąchalitas.

Biada ludziom i narodom, które utracą ową wąchalitas, utraca się go zaś, w skutek zapomnienia reguły owéj kardynalnéj: patrz swego nosa!

O czém dokumentnie opiewa następująca legenda, poczerpnięta przez nas z dzieła Wawrzyńca Sterna p. t. Tristram Shandy, a przez autora takowego z pisma Hafena Slawkenbergiusa, p. t. de nasis, to jest: o nosach.

Legendę tę podajemy w streszczeniu, przez tą mianowicie wąchalitas (chcieliśmy powiedzieć rację, co na jedno wychodzi w tym razie), że w całości, byłaby i zbyt rozwlekłą i zbyt barwistą, gdyż autor jéj Slawkenbergius pisząc ją po łacinie, pozwolił sobie użycia wyrażeń malujących rzeczy dokładnie, ale takie rzeczy, których wzmianka gorzéj jak tabaka w nosie czytelnikom by zakręciła.

Owóż tedy owego czasu, gdy Sztrasburg słynący w świecie dzisiaj z gotyckiéj wieży, i pasztetów z wątróbek gęsich sporządzanych, nazywał się jeszcze Argentoratą, był miastem wolnem, a z woli cesarza niemieckiego, na wielkie nieukontentowanie mieszkańców był zaopatrzony w garnizon składający się z męża zbrojnego w liczbie jakoby pięć tysięcy; po upale sierpniowym, chłodkiem wieczornym jakiś cudzoziemiec jadący na burym mule, nadciągnął przed bramę miasta. Walizka przytroczona do siodła zawierała kilka koszul, parę trzewików i parę hajdawerów z karmazynowego atłasu.

Na zapytanie szyldwacha zkąd przybywa? cudzoziemiec odrzekł: że jedzie wprost z przylądka Nosa, dąży do Frankfurtu, i że wróci do Sztrasburga punkt za miesiąc czasu od dnia owego, poczem zaś, uda się ku granicom Krymu.

Szyldwach przypatrzywszy się cudzoziemcowi, zawołał:

Jak żyję, takiego nosa nie widziałem!

— Bardzo mi jest dobrze z tym nosem, odparł cudzoziemiec, i sięgnąwszy do kalety prawicą u któréj na czarnéj wstążce wisiał bułat, to jest krótka

szeroka zakrzywiona szabla, wydobył floreńa, i grzecznie salutując lewą ręką do kapelusza, ofiarował pieniądz ów szyldwachowi, i zwolna pociągnął daléj.

— Ubolewam nad tém, ozwał się szyldwach, do krępego dobosza, że ten ugrzeczniony cudzoziemiec stracił pochwę: w całym Sztrasburgu nie znajdzie takiéj którąby pasowała do jego szabli.

— Nigdy pochwy nie używam, odparł cudzoziemiec zwracając się do szyldwacha i salutując do kapelusza, noszę zawsze szablę obnażoną, ciągnął potrząsając nią w powietrzu i powoli oddalając się na swym mule, żebym mógł w każdéj chwili bronić nietykalności mego nosa!

— Bo też i wart on jest takiéj troskliwości zacny cudzoziemcze, odpowiedział szyldwach.

— A ja mówię, ozwał się dobosz, że ten nos nie wart złamanego szeląga, bo to nos z pargaminu.

— Jak jestem prawowiernym katolikiem, jest to nos taki sam jak mój, z tą tylko różnicą że sześć razy większy od mego, odparł szyldwach.

— Ba, kiedym słyszał jak chrzęściał, ciągnął uporczywy dobosz.

— Ja zaś widziałem sączącą się z niego krew, dodał szyldwach.

— Jaka szkoda, żeśmy nie sprobowali pomacać tego nosa, ubolewał dobosz.

Podczas owéj dysputy, podobna zupełnie toczyła się nieopodal pomiędzy trębaczem i jego żoną, którzy wstrzymali swe kroki żeby przypatrzyć się przejeżdżającemu cudzoziemcowi.

— Najsłodszy Jezu! co za nos! a toć tak spory jak trąba, zawołała kobieta.

— Bo też jest to nos metalowy, jak tego dowodzi dźwięk jego kichnięcia.

— Kichnął tak łagodnie, jakby na flecie zagrał, odpowiedziała małżonka.

— A ja ci mówię że to nos mosiężny, twierdził małżonek.

— Bynajmniéj! przeczyła małżonka.

— Powtarzam ci, że mosiężny.

— Kiedy tak, zawołała kobieta, to nie uspokoję się dopóty, dopóki własnoręcznie nosa tego nie pomacam.

Muł dźwigający na swym grzbiecie cudzoziemca, posuwał się tak powoli, że pan jego nie tylko wysłuchał dysputy szyldwacha z doboszem, ale i sprzeczki małżonków trębaczostwa i w skutek tego zawołał:

— O nie! za to że jestem przez wszystkich prześladowany i spotwarzony, dopóty nie dam światu téj satysfakcji żeby ktokolwiek pomacał mój nos, dopóki niebo nie da mi mocy...

— Do czego takiego? podchwyciła nadchodząca burmistrzowa.

Cudzoziemiec nic nie odrzekł i w duchu uczynił ślub treści sobie tylko wiadoméj do Ś-go Mikołaja, poczém zapuścił się w ulicę Sztrasburga i zatrzymał się w wielkiéj oberży na placu przeciwko kościoła.

Po niejakim czasie ustrojony w karmazynowe hajdawery, z obnażonym bułatem u prawicy, cudzoziemiec wyszedł na miasto i zaczął przechadzać się na placu broni. Lecz zaledwie dał na nim kilka obrotów, patrzy, aż z przeciwnego końca podąża ku niemu wielkim pędem żona trębacza. W obawie tedy aby ta rezolutna białogłowa nie zdołała jakimkolwiek bądź sposobem pomacać jego nosa, cudzoziemiec pośpiesznie cofnął się do swéj oberży i rozebrawszy się z paradnych szat swoich, a przywdziawszy powszednie, zabrał manatki i dosiadł swego muła, mówiąc do oberżysty:

— Dążę teraz do Frankfurtu, lecz za miesiąc od dnia dzisiejszego najniezawodniéj wrócę do Sztrasburga. Spodziewam się panie gospodarzu żeście pamiętali o moim mule, nieboraczysko już przeszło sześćset mil mnie dźwiga!

— Wojaż nie lada, łaskawy panie, odpowiedział oberżysta, zapewne w bardzo ważnym interesie ją odbywacie?

— Naturalnie, odparł cudzoziemiec. Byłem aż na przylądku Nosa, gdzie też sobie wybrałem z łaski niebios taki nos, że nie wiem czy udało się komu z ludzi kiedykolwiek, posiadać piękniejszy i lepszy nos od mego.

Gdy to mówił codzoziemiec, żona oberżysty prawiła do swego małżonka:

— Przez świętą Radegondę! a toć dwanaście najokazalszych nosów Sztrasburgskich nie dorówna temu jednemu. Nieprawdaż że to cudowny nos?

— Gadanie! jest to nos przyprawny, odparł mąż.

— Prawdziwy! ciągnęła żona.

— Gdzież tam! czuć go terpentyną, jest to więc nos zrobiony z kloca sosnowego.

— Kiedy ma brodawki na sobie.

— Nos martwy!

— No kiedy tak, to bodajby mię ziemia w tem miejscu pożarła, jeżeli ja tego nosa własnoręcznie nie pomacam, krzyknęła rozdraźniona oberżystka.

— Dziś właśnie ślubowałem świętemu Mikołajowi, ozwał się cudzoziemiec wznosząc oczy do nieba, że dopóty nikt mego nosa niedotknie...

— Dopóki? podchwyciła oberżystka.

— Nikt go nie dotknie aż do chwili.... ciągnął cudzoziemiec składając ręce na piersiach.

— Do jakiéj chwili? niecierpliwie pytała kobieta.

— Nigdy! nigdy! chyba wtedy gdy przybędę...

— Na miłość boską gdzie? zawołała małżonka oberżysty.

Cudzoziemiec odjechał nie dawszy żadnéj odpowiedzi.

Po oddaleniu się jego, cały Sztrasburg zawrzał niby rój pszczół w ulu. O niczem innem nie mówiono, jak o owym nosie nad nosami. I niespokojność Sztrasburgczyków trwała wzrastając w miarę zbliżania się terminu, w którym cudzoziemiec przyrzekł wrócić do Sztrasburga. W przeciągu tego czasu Sztrasbugczycy podzielili się na partje, a mianowicie: *pargaministów*, utrzymujących za doboszem, że nos cudzoziemca był pargaminowy; *mosiężników*, twierdzących z trębaczem, że nos ten był mosiężny; i *terpentynistów*, trzymających się zdania oberżysty, że ów nos był zfabrykowanym z kloca sosnowego.

Tymczasem zaś, cudzoziemiec, po wydaleniu się ze Sztrasburga, po drodze zatrzymał się w jednéj oberży i tam zanocował, zjadłszy na kolację poprzednio omlet z trzech jaj sporządzony.

Wkrótce po nim nadciągnął jakiś podróżny do téj saméj oberży, do którego rzekł gospodarz:

— Niestety, mamy w domu tylko nieco słoniny i chleba, ostatnie trzy jaja jakie były, przed chwilą zjadł pewien cudzoziemiec.

— To też będąc strasznie znużonym, więcéj pragnę łóżka niż posiłku, odparł przybysz.

— Dostaniesz pan u mnie łóżko najlepsze jakie jest w Alzacji, chociaż nie taję się z tem, że ów cudzoziemiec co przybył przed panem, dostałby też samo łóżko, żeby nie jego nos.

— Zapewne zakatarzony zanadto? zagadnął podróżny.

— O ile wiem, bynajmniéj! odparł oberżysta, ale służąca moja Hiacynta utrzymywała, że cudzoziemiec ów nie mógłby się obrócić w tém łóżku ze swym nosem.

— Nie rozumiem dla czego? pytał nieznajomy.

— Bo ma on nos nad wszelki podziw ogromny.

— Czyż to może być? nie żartujesz czasem panie gospodarzu?

— Krom żartu miłościwy panie. Jest to nos najwspanialszy w świecie.

— A zatem, zawołał radośnie przybysz, właściciel tego nosa, jest nie kto inny jak narzeczony méj siostry, Diego, za którym od tak dawna napróżno po świecie krążę!

Rzeczywiście był to Diego, który Julję swą narzeczoną opuścił za to, że ona ośmieliła się pewnego razu okazać wątpliwość co do prawdziwości jego nosa.

List Julji doręczony arcynosatemu i zbyt drażliwemu kochankowi, przez jéj brata, opiewał:

Mości Diego:

„Czy podejrzenia me i wątpliwość co do waszego nosa były uzasadnione lub nie, nie pora rozprawiać i pytać cię o to, skoro nie zadałam sobie trudu przekonania się o tem wtedy, gdy była pora i t. d.

Koniec zaś listu brzmiał:

„Jeżeli słodycz twéj fizjognomji odpowiada dobroci serca twego, wrócisz do mnie okrutny z równą szybkością téj z jaką mię opuściłeś, i aczkolwiek przybędziesz po to tylko, żeby widzieć mię konającą, przecież spodziewam się o Diego! że umrę przynajmniéj przekonaną!“

Rozumie się że Diego, na takie zaklęcia nieczułym nie był i pośpieszył do swojéj ojczyzny Hiszpanji, pocieszyć swą strapioną srodze bogdankę, zupełnie zapomniawszy o przyrzeczeniu danem Sztrasburgczykom, powrotu do ich miasta w oznaczonym terminie.

Ale Sztrasburgczycy nie wiedząc o niczem, w dzień oznaczony, skoro świt jeszcze wyruszyli tłumnie na trakt prowadzący do Frankfurtu, i tam wypatrywali zjawienia się arcynosatego Hiszpana, w zamiarze najzupełniejszego przekonania się, czy nos jego jest pargaminowy, mosiężny, sosnowy, lub naturalny?

Rozumie się że oczekiwali napróżno; dzień cały, cudzoziemca nie doczekali się, lecz kiedy wrócili do domu, znaleźli Sztrasburg zajęty przez Francuzów.

Wiadomo każdemu że ongi istniał projekt monarchji uniwersalnéj przedstawiony Ludwikowi XIV przez Kolberga w roku 1674. W projekcie tym leżało zajęcie Sztrasburga, aby tym sposobem Francuzi mieli sposobność wkroczenia do Szwabji i zagrażania Niemcom. Otóż Francuzi, jak utrzymuje autor legendy, Hafen Slawkenbergius, korzystając z naiwności Sztrasburgczyków, którzy zamiast patrzyć swego nosa, w ów dzień wydalili się z miasta aby patrzyć nosa hiszpańskiego, część tego planu mogli z łatwością urzeczywistnić i urzeczywistnili.

Niestety! niestety! powtarza Slawkenbergius, nie pierwsza to, i obawiam się że i nie ostatnia forteca, zdobyta z powodu tego, że ludzie nie umieją patrzyć swego nosa.

Aleksader Osipowicz.

HUMORESKA.



(Postęp mody).

— Powiedz mi dla czego u téj pani garb tak nizko?
— To nie garb, ale tiurniura.
— Cóż to jest ta tiurniura?
— Jest to dalszy ciąg koka, a kok dalszym jest ciągiem tiurniury.
— Tego nie rozumiem!
— Wiele jest rzeczy, o których ani się śniło nowym filozofom.

WIADOMOŚCI;

Techniczne.

— **Roczna Konsumcja materjałów opałowych w Berlinie.** W Berlinie obecnie liczą do 600,000 mieszkańców, według rządowych wykazów w r. 1869 spotrzebowano: 4,175,000 ton węgla kamiennego i koksu, z czego 1,105,000 ton na wodzie, a 3,070,000 ton kolejami żelaznemi sprowadzano, 90,349 sążni torfu i 178,000 sążni drzewa opałowego. Dla dostarczenia owych materjałów do miasta użyto: 80,000 wagonów, 1,500 do 2000 lokomotyw, jakoteż 13,000 statków. Węgiel kamienny i koks użyty był w większéj części do rozmaitych fabryk, których dzisiaj Berlin bardzo wiele liczy, a drzewa używano wyłącznie po domach mieszkalnych z niejaką ilością węgla kamiennego.

J. P.

ROZMAITOSCI.

ON I ONA.

Ona.
Czemu ciągle patrzysz za mną
Kędy zwrócę krok?
Ej! ostróżnie mówię Jasiu,
Jeszcze stracisz wzrok.

On.
Jakeś ty to widzieć mogła,
Gdym za tobą szedł?—
Ej! nie oglądaj się Kasiu
Szyjkę skręcisz wnet.

Do tego N-ru *Opiekuna Domowego*, dołącza się dla wszystkich prenumeratorów, *dziewiąty zeszyt* **„Czytelni Domowéj.“**

Wydawca, Mieczyński Adam. — Дозволено Цензурою. — Za **Redaktora,** Mieczyński Adam.

Drukiem Jana Psurskiego, ulica Niecała Nr. 12 nowy.